

Hanna Łukowska Karniej

część II z III

Sygnatura notacji: **N0277**

Data urodzenia: **07.08.1941 r.**

Data nagrania: **27.06 2023 r.**

Miejsce nagrania: **IPN, Wrocław, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Artur Kłus**

Czas nagrania: **część I: 62 min, część II: 63 min, część III: 48 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Hanna Łukowska-Karniej: Działając w Solidarności, wszyscy działaliśmy w Solidarności, te pierwsze miesiące stanu wojennego, to było zaufanie do wszystkich ludzi, każdy kto przychodził i dawał adres, to w zasadzie człowiek się nie zastanawiał i go nie sprawdzał, ale to było do wakacji, pierwszych wakacji, po pierwszych wakacjach, moim zdaniem ludzie trochę ochłonęli i jak gdyby zaakceptowali i zaczęli myśleć o normalnym życiu. Wtedy poczuliśmy, a w każdym razie ja to na pewno odczułam, od razu. Było mniej chętnych do mieszkań dla Kornela, dla osoby ukrywającej się. Nie było... Młodziż musieli, właśnie jeden z naszych kolegów najmłodszych, później w Radzie Solidarności Walczącej, Cezariusz Lesisz, bardzo ciekawa postać, on był wtedy studentem, ale on nie należał do przyjaciół Kornela, ale dała go pani, u której się Kornel ukrywał. I Kornel chciał zmobilizować i właściwie włączyć do pracy jej synów. Ale ona powiedziała, że jej najmłodszy syn ma wspaniałego przyjaciela, który jest lepszy od jej syna, bo tamten robił karierę naukową, jej syn, a on na pewno, bo to byli studenci, on na pewno będzie chciał działać. No i Czarek wszedł od razu z butami w Solidarność związkową, a potem w Solidarność Walcząca. Był jednym z najbardziej zaufanych Kornela ludzi, właśnie Cezariusz Lesisz. I on, wakacje są i on mówi: „Hania, ja muszę jechać z siostrą na wakacje, mnie rodzice każą jechać, co ja mam zrobić, co mam zrobić?” I ja mówię: „No dobra, to cię zastąpię”. No bo był zorganizowany kolportaż, on miał jakąś tam swoją działkę, ktoś tam miał swoją działkę, no ale czym to zastąpić? No to wtedy poszłam znowu do pani Zosi Maciejewskiej, która przez te pół roku nic nie robiła, pół roku to nawet nie było, no tak mniej więcej i poprosiłam ją, czy mi dalej nie pomoże. Pani Zosia Maciejewska jak weszła w kolportaż, tak już z niego nie wyszła, a potem już stała się szefową poważnego druku. No i tak to było. I mówię do niej, zresztą tak zawsze podchodziłam: „Musisz mi pomóc, bo ja poległam na Tobie”. Przeprowadzka Kornela, więc przeprowadzka z mieszkania do mieszkania też wtedy wydawała się trudna, bo trzeba było jakieś tam rzeczy za nim nosić, dopóki

Kornel, że tak powiem... nie zdobyliśmy takich mieszkań, do których Kornel wracał i które były jego takimi, tak jak u pani Władzi Konstantynowicz, jak u państwa Jerzmańskich, gdzie był cały układ mieszkań, całych rodzin. To były mieszkania, gdzie przeprowadzka wyglądała, że Kornel mógł przejść bez niczego, a myśmy przynosiły jakieś rzeczy, które mu były potrzebne. No i zatykałam te dziury i wtedy zdobyłam moją najważniejszą łączniczkę, wtedy, tego lata, pseudonim Madzia, nazwisko Alicja Kopeć, która potem stała się moją najważniejszą łączniczką. Ona potem, jak wpadłam z drugą, Alą Iwaniuk, wiedziała już więcej, niż ja, bo Ala Iwaniuk była moją łączniczką, przekazałam ją potem Andrzejowi Zarachowi, ale Andrzej Zarach wszedł do nas, do takiej struktury późno. Teraz jak to się stało, że ja dochrapałam się listu gończego? List gończy, no to jest właściwie... W 1984 roku mam list gończy, ale w 1982 roku my uważamy, ta grupa skupiona wokół Kornela, tych jego przyjaciół, że w zasadzie związek zawodowy nie walczy tylko o związek zawodowy, a jeszcze nie za bardzo walczy o związek zawodowy. No i młodzieży to zawsze mówię, że ten podział, to, że odłączyliśmy się od Solidarności Walczącej, to był bardzo piękny podział, bo myśmy tylko dodali do słowa Solidarność Niepodległość. Bo myśmy stwierdzili, że my nie możemy tylko o związek walczyć. Zresztą Kornel zawsze powtarzał, że my bardziej walczymy o związek, niż sam związek Solidarności walczy, bo tam chce iść na jakieś układy, jakieś tezy prymasowskie, które są bardzo już takie miękkie, a jednak ten reżim nie przyjmuje tego. I w zasadzie Solidarność Walcząca właściwie powstaje z tego myślenia o tej Niepodległości. I te rozmowy się już toczą między tymi kilkoma przyjaciółmi, a w rezultacie kilkunastoma później, na przestrzeni tego okresu. U nas było 12 osób w Radzie Solidarności Walczącej. To były osoby najbardziej zaufane Kornela. Z jego przyjaciół i z osób takich poleconych jak ten młody student, Czarek Lesisz.

Artur Kłus: Czyli Solidarność Walcząca powstaje w czerwcu 1982 roku.

Hanna Łukowska-Karniej: To powstaje dopiero pomysł. A w zasadzie, my już rozmawiamy o tym, można powiedzieć, że powstaje w czerwcu, bo my wtedy robimy ten protest i układamy ten krzyż na placu Pereca. Ale jeszcze nie ma, Kornel dopiero pracuje nad wizytówką, w maju ta wizytówka zaczyna powstawać w nocnej rozmowie Falickiego z Kornelem, potem mieszkamy u przyjaciela Myca, gdzieś tam za Hubami i tam nocne spotkania tej grupy przyszłej Rady Solidarności Walczącej, gdzie postanawiamy, przyjeżdża... Jeszcze właściwie... Jeszcze te rozmowy się toczą bardzo różnie, na przykład przyjeżdża jego przyjaciel Diem, nie pamiętam, Tadeusz Diem chyba z Warszawy, bo Kornel kończył liceum Mickiewicza w Warszawie, a studiował potem we Wrocławiu i pracował, który proponuje nam państwo podziemne. To też te rozmowy się toczą w nocy czy państwo podziemne, co my zrobimy, jak będziemy działać, ale w rezultacie stwierdziliśmy, że my założymy Solidarność Walcząca. Ta nazwa Solidarność Walcząca to jeszcze się wykluła z takiego spotkania ostatecznego RKS-u, na którym jest Frasyński, Kornel, a to było na Biskupinie, to była wiosna. Gdzie po tym spotkaniu, na którym jest i Świerczewski, Falicki z Frasyńskim, my czekamy obok w mieszkaniu państwa Nowakowskich na Biskupinie. I tam oni wychodzą z tego spotkania bardzo zdenerwowani i mówią, że już tutaj chyba musimy się rozjechać, bo mamy inny pomysł na działanie w podziemiu. Pamiętam jak Oziewicz mówi: „To my nie będziemy żadna klęcząca, tylko walcząca”. Ale też walcząca wcześniej pada na takim spotkaniu, zimą jeszcze, z ust pana Świerczewskiego, który mówi, że to on wymyślił nazwę, pan Świerczewski Tadeusz. I rzeczywiście to były tak zwane spotkania przed założeniem jeszcze Solidarności Walczącej, tak zwane imieniny. To były dość duże spotkania. Dla mnie to był bardzo duży problem. Musiałam znaleźć dom, w którym można było zrobić spotkanie kilkunastu osób. I te imieniny takie, bym powiedziała, całonocne, ważne, to były w mieszkaniu, o zgrozo dla niektórych, w mieszkaniu

moim, w którym mieszkaliśmy na stacji, Energetyczna 6/13. I tam właśnie pierwsza ta nazwa się pojawiła i każdy z ludzi, który spotkał się z Kornelem, przyszedł wtedy z dublerem. To była taka grupa, taka burza mózgów duża. Ja już nie pamiętam kto tam był, niektórzy to pamiętają, to była cała noc, żeśmy tam urzędowali, to jest Energetyczna, to jest blisko Placu Powstańców Śląskich, mojego mieszkania. Nigdy się nie dowiedziałam, czy tam kiedyś była Służba Bezpieczeństwa, nie wiem, ale to miałam w dowodzie.

Artur Kłus: Pamięta Pani kiedy to było?

Hanna Łukowska-Karniej: Wydaje nam się, że to było jeszcze w grudniu. Tak nam się wydaje, że... Znaczący na pewno był... Może nie grudzień, przepraszam. Może styczeń albo luty, bo było zimno. A na wiosnę właśnie zaczynają się te drogi Kornela trochę z Frasyniukiem rozchodzić. Właśnie pamiętam jak Maria Koziebrodzka, która była łączniczką do Frasyniuka, opowiadała o spotkaniu z Frasyniukiem i jego reakcji razem z Basią Labudową na listy Kornela. I ja przez przypadek słysząc, robiąc herbatę, bo już nie pamiętam, czy to było wtedy jeszcze u mnie, czy gdzie, mówię: „Ale słuchaj, oni chyba nie chcą już z wami współpracować”. Tak mi się wydawało z tej jej relacji i później jeszcze Korny się spotkał parę razy z Frasyniukiem. Ja organizowałam te spotkania, jedno na Nyskiej, jedno na ulicy Wapiennej. Na Wapiennej to było przed tym spotkaniem, gdzie oni wyszli zdegrustowani ze spotkania RKS-u. Wtedy, wiedząc, że tam, mówię: „Kornel, Ty się musisz dogadać w cztery oczy z panem Frasyniukiem”. „No tak, ale wiesz, no tak, tak”. Nawet zdarzyło się, że kiedyś Kornel dostał jakiś nieprzyjemny list i wyszedł z domu nikomu nic nie mówiąc i pojechał do Frasyniuka, bo wiedział, gdzie on mieszka. Bo Marysia знаła adres, ja nie znałam adresu wtedy. Żeby się z nim rozmówić, co on za głupoty mu wypisuje. Jakies listy się zachowały, gdzieś tam pan Świerczewski przechowywał te listy. Bo on jak sam mówił o sobie: „Ja chcę być twoim człowiekiem przy Frasyniuku”. Mówił o spotkaniach tego Regionalnego Komitetu Strajkowego, tak się to nazywała ta struktura, która była przy Frasyniuku. Wychodząc z mieszkania Kornela, któremu po nocy przynosiłam jakieś informacje, jeszcze chodziłam do pracy i nie miałam żadnego listu gończego. Wychodząc od niego, bo na ogół dzień tak wyglądał, że ja rano albo wieczorem mu zostawiałam listy, a rano odbierałam listy tam, gdzie on mieszkał i przynosiłam je do pracy, a ludzie odbierali ode mnie te listy do nich. Wychodząc od Kornela rano z tymi listami, spotkałam właśnie Rafała Dutkiewicza. Rafał Dutkiewicz, późniejszy prezydent miasta Wrocławia, był naszym studentem. Znałam go bardzo dobrze i właściwie to Kornel go ustanowił też łącznikiem do Frasyniuka. To było tak podwójnie, on sam się ustanowił łącznikiem do kardynała, bo przynosił od kardynała wiadomości i był łącznikiem Frasyniuka. I potem zapytany, czy chce być łącznikiem tylko Frasyniuka, powiedział, że tak. I to od nas się trochę odłączył. Marysia tylko łączyła Frasyniuka z nami. I spotkałam go, on to źle pamięta, ja to doskonale pamiętam. Proszę? – Marysia? – Koziebrodzka, cały czas mówię o Marysi Koziebrodzkiej, pseudonim „Sierotka”, która była w Radzie Solidarności Walczącej drugą kobietą, oprócz mnie. Wychodzę z tego domu na Habskiej, pamiętam, ja to dobrze pamiętam, spotykam Rafała, muszę iść do pracy. Ale rezygnuję z przyścia do pracy na godzinę, czym bardzo denerwowałam moje koleżanki, bo się spóźniałam notorycznie, ale uważałam, że sprawy są ważniejsze. Ale to była biblioteka, więc uważałam, że jak ona jedna będzie, to nic się nie stanie. Rozgrzeszałam się. Natomiast zapytałam Rafała Dutkiewicza, i mówię: „Rafał – przypadek zupełnie jak go spotykam i mówię: Słuchaj, nasi szefowie powinni się chyba dogadać w cztery oczy. Czy jesteś w stanie ściągnąć gdzieś za godzinę albo dwie swojego szefa?” „No jestem w stanie”. „To ja ci dam adres”. Bo ja działałam wtedy spontanicznie i taka... Pełna improwizacja. Uważałam, że to jest najbezpieczniejsze. Zresztą to trochę się nauczyłam

od Kornela. Bo pierwsze wskazówki to były od Kornela. Tego śledzonego Kornela, który mi powiedział, kiedy zobaczę jak za mną chodzą i jak to wygląda, bo ja nie wiedziałam. No i rzeczywiście robiłam, patrzyłam z Instytutu za Dom Naukowca, czy tam coś stoi i jak ja wychodzę, zaczyna się ruch, to znaczy, że mnie śledzą. Ale wróć, spotykam Rafała, mówię mu i podaję mu adres na Wapiennej. Biegnę na tę Wapienną, spotykam tę Iłę Jerzmańską i mówię: „Iga, tu za godzinę przyjdzie Frasyński. Ja się tu umówiłam, czy mogą tu się spotkać?” „No tak, Hania, tylko, żeby to było tam do godziny drugiej czy trzeciej, bo jak teściowa wróci, to nie wiadomo, co będzie”, bo ona mieszkała u teściów. No i rzeczywiście do Kornela wróciłam, powiedziałam mu, Kornel sam już tam poszedł. Ja już poszłam do pracy, Iga miała się zająć, czy jest bezpiecznie, jak przyjdzie najpierw Frasyński, potem ona, bo to zawsze było: „Ty wyjdź, zobacz, potem wprowadź”. Ja już teraz nie pamiętam, bo za każdym razem było trochę inaczej, to nie było jakiegoś standardu. Każdy jak miał rozum i myślał, to robił tak jak uważał. No i wtedy rzeczywiście oni zrozumieli, że... Kornel go wtedy zapytał, czy ma prowadzić dalej „Z dnia na dzień”, czy on woli przejść, bo krytykował każde „Z dnia na dzień”. On mówi, że woli przejść, że będą... No to Kornel wtedy powiedział, że dobrze, to z takim poślizgiem będziemy wam drukować, zanim nie zbudujecie sobie własnego kolportażu, ten kolportaż zostawimy. Nie mówi mu wtedy chyba o Solidarności jeszcze Walczącej, bo jeszcze ta Solidarność Walcząca, jeszcze nie wiedzieliśmy co zrobimy, ale w każdym razie chciał przejść, Frasyński chciał przejść wydawanie „Z dnia na dzień”, przy pomocy oczywiście Basi Labudowej. No i wtedy to była rozmowa w cztery oczy. To mógł być maj, zaraz blisko tego spotkania RKS-u całego na Biskupinie. No i wtedy na tym Biskupinie również to była dla mnie data dosyć bym powiedziała, taka znamienita, bo... Jeszcze to spotkanie odbywało się jak gdyby obstawiane przez osoby, które miały bezpieczeństwo zachować. Ale jak ja zobaczyłam, jak w dzielnicy willowej, ci chłopcy chodzą co jakiś czas i robi się ruch tam, gdzie nie ma ruchu, to powiedziałam: „Kornel zrezygnujemy z jakiegóż obstawy. Ty nie możesz z obstawą, ludzie nie mogą wiedzieć, że ty tu jesteś. Ja nie wiem, niech Frasyński sobie robi co chce, ale to chyba...” A on mówi: „A, jak uważasz”. Oczywiście zgodził się od razu. I właściwie później spotkania były bez żadnej obstawy. Może tam niektóre były z obstawą, jak już Zarach przejął jakieś spotkania, ale ja uważałam, że im mniej osób wie, gdzie Kornel jest, tym lepiej, a ludzie byli zawsze przyprowadzani. Mało kto znał adresy. Mało kto. Początkowo członkowie Rady znali adresy, ale bardzo szybko, potem ja już ich przywoziłam na spotkania, albo mówili skąd mogę ich zabrać. No i ten 1982 rok, czerwiec, kiedy już ta Solidarność Walcząca dojrzewa i właściwie Kornel w mieszkaniu również pani Igi Jerzmańskiej, ale już nie mieszkają z teściami, tylko mieszkają na Kwiskiej w mieszkaniu rodziny, która wyjechała na Zachód i to jest mieszkanie drugie Kornela, bardzo ważne, bo to jest cały układ mieszkań na Kwiskiej, cały układ mieszkań. Nie dość, że Państwa Jerzmańskich, wszystkich, bo tam wszystkie babcie działały w Solidarności, to jeszcze do tego znajomi, których nam polecali. To był układ co najmniej kilkunastu mieszkań na Kwiskiej. Na tej Kwiskiej powstaje ta pierwsza wizytówka Solidarności Walczącej i w zasadzie ona powstaje dopiero w grudniu. Mimo, że Solidarność Walcząca, mówimy, że w czerwcu się zawiązała, ale w grudniu nasze cele, nasza idea, nasze zadania. W każdym razie Iga, która mieszka w tym mieszkaniu ze swoim mężem Jasiem... Właściwie to nawet każdy gospodarz, który mieszkał z Kornelem, to w zasadzie miał jakiś, że tak powiem, wpływ na myślenie, na dyskusje z Kornelem, nawet na kształt trochę tej Solidarności. Kornel dowiadywał się, co myślą ludzie, którzy po prostu normalnie chodzą po świecie, bo on był odizolowany. On bardzo szybko się przyzwyczaił do niewychodzenia. On w ogóle chodził tak po mieszkaniu i wcale nie zamierzał nigdzie wychodzić na te spotkania, tylko wychodził, to wtedy te sześć lat upłynęło tylko jego w spacerze poza dom, kiedy ze spotkania na spotkanie, bo nie zawsze był przewożony, bardzo często szedł na piechotę, a ja z tyłu szłam. I patrzyłam tylko, co się dzieje. Nigdy pierwsza nie szłam, bo już wiedziałam po liście gończym

w 1984 roku, że moja twarz jest znana Służbie Bezpieczeństwa. Można się też zdziwić, że działałam po wpadce w 1984 roku, ale niestety to był wymóg sytuacji, bo ludzi było coraz mniej do pracy. I Kornel powiedział: „Wychodzie z więzienia, róbcie to lepiej. I dalej działajcie”. A wiem, że w strukturach związkowych ludzie przestawali działać. Nieprawdą jest, że potem działali, może kolportowali, ale żeby tak głęboko siedzieli w strukturach, no to wydaje mi się to mało prawdopodobne. Mój list gończy ukazał się w 1984 roku, w maju chyba, wcześniej był... W 1983 był proces „Wiadomości Bieżących”. Ten proces „Wiadomości Bieżących” był pismem, który wychodził niezależnie, ale Kornel starał się, żeby pisma, które z nami współpracują, ich redaktorzy, jeżeli się z nami zgadzają co do idei, to żeby podpisywali pismo Solidarności Walczącej. O to były wielkie boje. Nie wszyscy się zgadzali i pamiętam, że niektórych trzeba było bardzo długo przekonywać i do dziś pamiętam, którzy szybciej, że tak powiem, się zgodzili na to, którzy mniej szybko, no bo teraz jest łatwiej się przyznać do Solidarności Walczącej, niż wtedy. Wtedy naprawdę było bardzo trudno. I pamiętam, że w niektórych domach, gospodynie mnie pytały: „A co to jest ta Solidarność Walcząca?” na przykład. A ja mówię: „No taka Solidarność, ale mówię, no taka bardziej zdecydowana”. Więc panie domu, które ukrywały Kornela, nie zawsze wiedziały, no zagrożeń nawet, które na nie spływały. Ale Kornel dawał się lubić. Mnie też zawsze lubiano, bo jakoś starałam się pytać, czy już mamy się wynieść, czy nie. Starałam się chodzić na palcach i nie przeszkadzać, i jakoś tam pomagać, ile się tylko dało. W 1984 roku raptem...

Artur Kłus: Jeszcze w 1983 r. w „Wiadomościach Bieżących” też była Pani zatrzymana?

Hanna Łukowska-Karniej: W 1983 roku zatrzymano mnie do przesłuchania, tak. Wychodzę z przedszkola, chyba to wtedy było i mnie pod rączki, i prowadzą mnie. Cały dzień mnie przetrzymali. A ja wtedy, widząc już, że za mną chodzą, postanowiłam oczyścić całkowicie mieszkanie z wszystkiego i zostawiłam tobołki takie do wyniesienia pod drzwiami. Na szczęście nie miałam wtedy rewizji, natomiast przetrzymali mnie, a ja miałam już w kieszeniach rano listy Kornela. Udało mi się rozerwać podszewkę w kieszeniach i te listy wpadły do środka. Na szczęście była zaszyta dalej podszewka i nie wypadły te listy. Zatrzymana nie byłam dokładnie, kieszenie, to, tamto. No i wtedy mnie przesłuchiwali na okoliczność właśnie tych „Wiadomości Bieżących”. Pamiętam, że po raz pierwszy to chyba był, nie wiem czy to nie był 1982, grudzień, bo w 1983 uczestniczyłam w maju, bo pamiętam bzy przyniosłam Basi, ale w 1982 to było 30 listopada.

Artur Kłus: Właśnie mam napisane, że była Pani zatrzymana w listopadzie 1982 roku.

Hanna Łukowska-Karniej: Tak, w listopadzie, 30, na Andrzejki.

Artur Kłus: Jak Pani właśnie odprowadzała swoją młodszą córkę do przedszkola.

Hanna Łukowska-Karniej: Tak, tak. To był listopad, na Andrzejki. Zostałam zatrzymana i wtedy wróciłam po dziecko, kiedy już zamykali przedszkole. I wtedy zrozumiałam, że już ja muszę się zabezpieczyć, żeby córka starsza odbierała dziecko i mój mąż pilnował tego, kto odbierze dziecko, bo ja mogę nie wrócić. Tak, to był 1982 rok. – A „Wiadomości Bieżące”, że to było zatrzymanie w maju 1983. – 1983, tak, ale to już jest związane z „Wiadomościami Bieżącymi”, ponieważ spotyka się Kornel z redaktorami. Wtedy nie zauważyliśmy chyba obstawy. Namierzają jednego kierow-

cę. Ja zauważyłam, że za nami jadą, rozmowa z kierowcą Warszawy, mówię: „Proszę pana, jadą za nami, chyba jesteście śledzeni”. On do mnie mówi: „Mała czarna, nie jesteście śledzeni”. Ja mówię: „Proszę się tylko do mnie nie przyznawać. Jest pan taksówkarzem”, płacę panu, tu się zatrzymamy, płacę mu i mówię: „Proszę się do mnie nigdy w życiu nie przyznawać”. No i ja mu płacę, wchodzę tam, wtedy to moja taka jedna z większych ucieczek była, jak uciekałam poprzez pocztę na podwórko. Weszłam na pocztę, powiedziałam pani, że jestem śledzona, czy mnie może przepuścić, ona mi pokazała którąś, wyszłam i oni mnie zostawili. I potem jeździli w koło i nie mogli tam, tej poczty, róg Grunwaldzkiej, róg Piastowskiej. A ja tam przeszłam kwartały i zatrzymałam się w jakimś tam, na półpiętrze mieszkaniu, a oni jeździli, jeździli, jeździli, ale to nam się bardzo przydało, to moje śledzenie. Bo jak dotarłam wreszcie do Jasia Pawłowskiego, to pewne rzeczy żeśmy rozwiązali, bo padały rzeczy przez nasz nasłuch, których myśmy nie rozumieli i nie umieliśmy ich, że tak powiem, rozwikłać. Jakies kwadraty, coś takiego, a ja już wiedziałam, co ja robiłam. Ale po raz pierwszy, jak zauważyłam, że za mną chodzą, to wychodziłam z Janem Pawłowskim z mojego instytutu. I zobaczyłam ten ruch, o którym Kornel mi mówił, zza Domu Naukowca, że wystaje jakiś tam samochód. Oni wtedy mieli na ogół niebieskie samochody, Polonezy, Warszawy to nie, Polonezy były. No i zaczyna się ruch. Wsiadają ludzie, zatrząskują drzwiami. Aha, daleko są, no ale ja do autobusu i mówię do Jasia: „Chyba już mnie śledzą albo ciebie”, on mówi: „Zaraz zobaczymy”. No i wsiedliśmy do autobusu i Jan Pawłowski, który zawsze ze mną chodził na obiad, jak pracowaliśmy w Instytucie Matematyki, zresztą chodziliśmy też i z Kornelem wcześniej, ta trójka chodziła na obiad zawsze. Tak że oni potem jak przesłuchiwali ludzi, to wypytywali o te obiady, o przyjaźnie, o moje układy rodzinne. To już było wiadomo, że się mną interesują, bo mi ludzie powtarzali z Instytutu Matematyki. No i wtedy dojechaliśmy do pewnego momentu z panem Janem Pawłowskim i stwierdziliśmy, że spróbujemy uciec tej obstawie. To był autobus, autobusem jechaliśmy i udało nam się uciec. On poszedł do kolegi, a ja do pani docent Łopuszańskiej bo uważałam, że niczego, że tak powiem, nie palę. I udało mi się, to było niepotrzebne, bo i tak musiałam wylądować w domu, ale zauważyłam pierwszy raz jak za mną idą, ale nie zauważyłam jak drugi raz poszli za mną do mojej koleżanki. I to było właśnie przed tym zatrzymaniem, gdzie zrobili rewizję w mieszkaniu dwukrotnie, starszej pani Jagodzińskiej, Natalii Jagodzińskiej, która ze mną kiedyś pracowała w mojej pierwszej pracy, właśnie na Politechnice, w Instytucie Organizacji przy Pereca. Potem wykorzystywałam to mieszkanie i jej znajomych. Bo nie rezygnowałam ze znajomości, ale wtedy weszli do domu za mną po godzinnym tam pobycie. Ona w ogóle nie wiedziała, o co chodzi. Ja jeszcze nie wiedziałam, że za mną też mogą chodzić. Byłam u dentysty, poszłam do niej, było to blisko. No i wtedy zobaczyłam ubeka, który... W tym Kornela procesie uczestniczył. Pana... Pietrzyk się nazywał, pamiętam. Pietrzyk, on wtedy był. Więc weszli raz, wylegitymowali ją. Ona w ogóle nie wiedziała, o co chodzi. Stan wyjątkowy to był, czy wojenny, już taki lekki, zawieszony, ale zdziwiona była. Ja mówię: „No nie dziw się, bo pewnie już poszukują pana Kornela, który ze mną pracuje, a się ukrywa”. No i ona zdenerwowana, bo ona pamiętała wojnę, jeszcze wykrzyczała tych panów. Za 15 minut znowuż przychodzą, ale już wtedy nie legitymują, tylko w szafach szukają po prostu osoby, to widać. Podnoszą, no i od tego momentu ja zrozumiałam, że już bezkarnie nie mogę wejść do żadnego domu, bo każdy dom spalę. No i to wtedy już wiedziałam, że ja nie mogę chodzić sobie tak. Muszę wiedzieć na 100%, że nie jestem obserwowana.

Artur Kłus: Wtedy miała Pani już list gończy, tak?

Hanna Łukowska-Karniej: Jeszcze nie miałam, bo gdybym miała list gończy, to by mnie wzięli. To było przed

listem gończym. To były takie właśnie zwiastuny tego listu gończego. I nawet powiedziałam do tych chłopaków, którzy mnie śledzili, już potem bardzo blisko. Mówię: „Czego wy mnie tak śledzicie, że ja was widzę?” No rozmawiałam z nimi. Pod domem stali, pod pracą stali. A oni mówią: „Martw się, kiedy nie będziesz nas widziała”. No to sobie myślę, rzeczywiście i to oni mieli rację, bo kiedy już ich nie widziałam to albo przychodziło aresztowanie, albo bałam się, że ja już ich nie widzę, że ja straciłam czujność i węch. To wtedy się rzeczywiście bałam, ale to było jeszcze przed listem gończym i to pierwsze zatrzymanie w grudniu, a potem ten proces Solidarności, „Wiadomości Bieżących”. I w czasie tego procesu byłam jedyną osobą, która zaprzeczała, że nikogo nie znam, że ja nie znam tych ludzi, że coś tam, ale pamiętam, że taka moja rozmowa była z Kornelem, że mi wstyd, że ja ich nie znam, ale przyznać się nie mogę, bo ich wkopię, no i wtedy... Kiedy miałam tam ostatnie słowo, że ja właściwie z tymi ludźmi, że tak powiem, czuję więź duchową, że popieram ich myślenie i żałuję, że ich nie znam, coś takiego powiedziałam, co się spotkało z takim bardzo przyjaznym aplauzem nawet wśród... adwokatów, którzy tam byli. I wszyscy mi gratulowali wtedy, coś tam powiedziałam. Zaczęłam od tego, że – to do dziś jeszcze pamiętam, w naszych tutaj osobach jest właściwie sądzona Konstytucja Polski Ludowej, że przecież mamy wolność poglądów i tak dalej, a na końcu właśnie ukloniłam się tym osobom, których niestety nie znam, ale chciałabym ich znać, bo robią wspaniałe rzeczy. I tak się to zakończyło i ja jedna w zasadzie nie zostałam skazana. To był sędzia Wieczorek, to pamiętam, ponieważ się nie przyznałam, on jakby dał nam lekcję, że ja się nie przyznałam, ale prokurator oczywiście powiedział, że sprawa będzie wznowiona, przyszła chyba jakaś amnestia i nie było tej sprawy, ale ten list gończy właśnie już w 1984 roku pojawił, a pojawił się w momencie, kiedy byli w domu, w pracy i nie mogli mnie zastać. Nie mogli mnie zastać, nie mogli mnie złapać. Mojej córce powiedzieli, że pewnie nie mieszkam w domu, bo ja w zasadzie byłam chyba na dwie, trzy rewizje w domu. Moja córka najstarsza przeżyła wszystkie rewizje, a było ich dość dużo. A ja byłam tylko przy dwóch czy trzech rewizjach, bo ja rano wychodziłam z domu, mnie nie było. Powiedziała nawet im, że ty kłamiesz, mówią do niej, że mama nie nocuje w domu. A ona mówi: „To wy źle pracujecie widocznie, bo mama wyszła z domu, mama poszła do pracy” i o tak z nimi rozmawiała. No i kiedy mi się udało, i w pracy nie być zatrzymaną, i w domu nie być zatrzymaną, a w pracy nie zostałam zatrzymana, ponieważ wchodziłam i pani, która była na portierni mówi do mnie: „Wydź, wydź, wydź”. Ja myślę sobie – zwariowała? Co ona na mnie krzyczy? Wydź. No i wyszłam, do gmachu głównego zadzwoniłam i okazało się, że jest rewizja. Sobie myślę- rewizja, rewizja, nie będę się pchała na tą rewizję. No, myślę sobie, będę coś załatwiała w gmachu głównym, bo oczywiście biblioteka i bibliotekarze mieli takie, że tak powiem, zajęcia, że byli w bibliotece głównej, załatwiać sprawy różne. No, ale pojechałam do Ludki Ogorzelec, która siedziała przy nasłuchu już wtedy non stop i okazało się, że coś się dzieje w eterze, że są jakieś aresztowania, że jest jakiś ruch w eterze, bo myśmy podsłuchiwali właśnie tę bezpiekę. No i pojechałam do Kornela. Nie poszłam wtedy już do pracy. No i Kornel mówi: „Ty się lepiej ukryj”. Bo były aresztowania w marcu, w takim razie mówi, wtedy ciebie nie złapali, Ty się najlepiej ukryj. No i ja zaczęłam się ukrywać, tak że oni dali mi ten list gończy w maju 1984 roku.

Artur Kłus: Możemy pokazać zdjęcie jakie widniało, na jakim Pani widniała z tego listu gończego?

Hanna Łukowska-Karniej: Tak.

Artur Kłus: Do kamery.

Hanna Łukowska-Karniej: Tak, ten list gończy ukazał się z moim, bo Kornela list gończy ukazał się zaraz po stanie wojennym w gazecie, a mój list gończy ukazał się we wszystkich gazetach. Moja mama, ktoś jej przyniósł „Trybunę Ludu”, bo była w gazetach w Szczecinie, się dowiedziała, że za jej córką jest list gończy. A ja się dowiedziałam o tym liście gończym, jak poszłam do koleżanki, która jak mnie zobaczyła, to się rozplakała i mówi: „Boże, jest list gończy za tobą”. „Jaki list gończy?” Ona mi wyjmuje gazetę i pokazuje. Ja myślę, co ja mam robić? Już do domu nie wrócić, czy co? Spotkałam się z moją córką poprzez koleżankę, która była moim też jednym z kierowców, Zosię Olichwier, która mi przywiozła moją córkę do drugiej koleżanki i z nią zaczęłam rozmawiać, czy ona sobie da radę w domu jak ja się nie zjawię. No i list gończy wtedy miałam ja i Basia Sarapuk, właśnie ta, która miała proces „Wiadomości Bieżących”, która była głównym takim drukarzem i właściwie legendą podziemia drukarskiego. Nazwalismy ją Damą drukarzy. Tak, Basia Sarapuk. I ten list gończy się ukazał, zrobili mi tylko reklamę, bo wzięli moje najlepsze zdjęcie, najładniejsze. Jak do więzienia wreszcie trafiłam, bo wpadłam dość szybko, ponieważ ludzi mi wyaresztowali w marcu, w lutym, już nie pamiętam kiedy Wojtek Myślecki był po tej wyspie naszej na Białowieskiej. Zosia Maciejewska, uprzedzona, że może być aresztowana, nie ukryła się w podziemiu. Nie chciała zejść do podziemia, bo to było takie trudne podjęcie decyzji, kiedy się ma rodzinę. Mąż musiałby wyrazić zgodę, a ja tylko z dziećmi konferowałam, bo mój mąż mieszkał osobno. Tylko go prosiłam, w nocy przyszedł do niego, po nocy, żeby bardziej się zajął dziećmi, bo w tej chwili... I dałam mu upoważnienie do wszelkich spraw związanych z dziećmi, bo ja dzieci moje uprzedziłam, że jeżeli będę zamknięta, to będą je szantażować, że je zabiorą do domu dziecka. Powiedziałam: „Macie ojca, który tu mieszka naprzeciwko, macie babcię, jeżeli was kiedyś zabiorą do domu dziecka, to pamiętajcie, że zaraz was odbierze rodzina”. Tak jak mnie nie zostali w domu, tam za którymś razem, to wyważyli nawet drzwi w domu. Dzieci były akurat starsze w domu, młodsza była odprowadzana do przedszkola. No i grozili im domem dziecka, ale syn wybiegł na balkon i powiedział, że on wyskoczy przez balkon, jeżeli go zabiorą do domu dziecka, a córce pozwolili zadzwonić do ojca. No i ojciec się zjawiał. Wyglądało to dosyć poważnie, bo przyprowadzili lekarza, pielęgniarkę, która nie wiedziała o co chodzi, bo na dole była przychodnia, obok, w tym bloku, w którym mój mąż mieszkał. Ci ludzie nie wiedzieli, do czego oni tu służą, że mieli powiedzieć, że te dzieci są opuszczone i czy te dzieci są zaniedbane. Ale dzieci nie były ani opuszczone, ani zaniedbane. Trochę opuszczone były, ale córka mi dzielnie pomagała i zawsze mnie kryła. Nawet przed moją rodziną. Że ja nocuję po kilka godzin tylko w domu. Zawsze mówiłam, że mam trzy prace. Chodzę na Politechnikę, mam pracę podziemną i jeszcze do domu jak wracam grzecznie po pracy, i szybko gotuję obiad. A potem idę dalej na służbę, tak że byłam zagoniona.

Artur Kłus: Jak doszło do Pani aresztowania?

Hanna Łukowska-Karniej: Jak wyglądało moje aresztowanie?

Artur Kłus: Jak do niego doszło?

Hanna Łukowska-Karniej: Ponieważ wyaresztowanych było bardzo dużo osób, ta struktura się trochę sypała. Ja starałam się te dziury pozatykać i pamiętam, że przenosiłam z jednego garażu do drugiego garażu jakieś rzeczy. W każdym razie dwoiłam się i troiłam. Ale jakoś mi się udawało. Natomiast wiozłam ludzi na spotkanie z Kornelem. Przyjeżdżałam na Krzykach, a wiozłam na spotkanie, już nie pamiętam gdzie, ale mówię: „Słuchajcie, ja was tutaj

zostawię na chwilę, na to spotkanie, ale koleżankę muszę ostrzec, ponieważ ona chyba jest śledzona”. No i o zgrozo, poszłam do koleżanki, żeby ją ostrzec. To była grupa tak zwanego Tytusa. Zosia Szutrak prowadziła tę grupę. Zosia Szutrak, pseudonim „Tytus”. Ona była bardzo tajemnicza, psycholog pani, z ulicy Jarzębinowej. Oczywiście zatrzymałam to tam dwie ulice dalej, to jest ulica Willowa, przeleciałam tam przez podwórka, wbiegłam na górę do niej i dosłownie ja jej mówię: „Słuchaj – pokazuję jej nasłuchy – Zosiu, ty musisz być śledzona, bo nazywała się Zofia Szutrak, ty musisz być śledzona, ty jesteś ty. Nie wiem gdzie ty masz te swoje miejsca, ale to chodzi o ciebie”. „O nie, to chyba nie chodzi o mnie”. Stoimy i rozmawiamy i w tej chwili walenie w drzwi i wchodzi panowie. Potem się okazało, że mieli jakieś mieszkanie i chyba ją tam już dość długo śledzili. Ona pracowała jako psycholog w szpitalu psychicznie chorych i w ogóle była przewodniczącą w swoim zakładzie Solidarności. Nie była internowana, bo jej tam nie internowali, ale w każdym razie była namierzona. Ale prowadziła taki dość duży kolportaż, bardzo duży kolportaż. No i u tej Zosi Szutrak zrobili kocioł. Mnie szybko stamtąd wyprowadzili, zawieźli, a ci ludzie czekali w tym samochodzie i czekali. Na szczęście pan, który wiozł, ja tych kierowców miałam różnych. Teraz tak mniej więcej około 30 samochodów przewinęło się przez to moje podziemie. Nie wiedział gdzie miał zawieźć, bo ja nigdy nie mówiłam, proszę jechać Biskupin albo Karłowice, tylko mówiłam prosto, w kierunku – mówię – Placu Kościuszki, a potem w prawo. Nigdy nie podawałam adresu. Tylko tak byłam... W każdym razie... Podjeżdżałam kawałkami, bo wydawało mi się, że ci ludzie mogą mieć podsłuchy, mogą mieć jakieś czipy, nie znałam się na tym, ale zawsze uważałam, że nawet kartki świąteczne, które grają, bożonarodzeniowe, mogą być jakimś podsłuchem, gdzie jest Kornel. Nigdy mu nie przynosiłam takich kartek, zawsze u siebie w domu zostawiałam te kartki. On tylko widział, kto mi go polecił. I pojechał do tej mojej koleżanki z tymi ludźmi, bo on nie wiedział, gdzie jedziemy, z kim, ani dokąd. No i wtedy właśnie ta moja Madzia, na szczęście to była Madzia, i ona wiedziała, co z tymi ludźmi zrobić. I jak, czy tam do spotkania doprowadziła, to już teraz nawet tego nie pamiętam, szczerze mówiąc. No i tak się zakończyło. I to było 9 maja, a to gdzieś było w czerwcu zatrzymanie, nie pamiętam kiedy byłam zatrzymana.

Artur Kłus: 6 czerwca.

Hanna Łukowska-Karniej: 6 czerwca. No to krótko biegałam i załatwiałam różne rzeczy. I siedziałam w areszcie najdłużej, bo prawie miesiąc tam siedziałam. Potem jak poszłam do więzienia i pamiętałam tylko co mi pan Marian Oziwicz mówił, bo oni wszyscy byli albo po internowaniu, albo po odsiedzeniu jakichś wyroków krótszych, dłuższych, że Hanka w porządku mówi: „Najgorsze to jest siedzieć na Łąkowej, czy tam mówi na Muzealnej, ale już więzienie to jest pestka”. No to czekałam na tą pestkę i rzeczywiście w więzieniu duże okno, duża cela. Boże, a tam to było tragicznie. No tak, rzeczywiście, maleńka cela, dwa miejsca do spania. Mnie rzucono materac między ubikacją, a ścianą i zaraz przy drzwiach, to maleńka była cela i okropne warunki na tym Podwalu. Stare poniemieckie więzienie jeszcze. Gestapowskie takie, no i te szczury w tym kiblu, które tam łomotały w nocy, tak stawiało się wiadro z wodą, na to miednicę, no i tam wiadomo, człowiek w takim małym pomieszczeniu, jeszcze z obcymi ludźmi, to były jakieś kobiety, jedna powiedziała, że za zabójstwo, druga za jakiś handel, studentka, ale tamta to było takie ucho. To już się szybko zorientowałam, no i tam przesiedziałam prawie miesiąc, potem byłam na Kleczkowskiej w więzieniu, w tym więzieniu też siedziałam z kryminalistkami. Takie ciekawe doświadczenia, trochę tam porozmawiałam z tymi ludźmi. Później pod koniec chyba ostatni tydzień, a może trochę dłużej, siedziałam z jedną z pań z Solidarności, a poza tym ja zawsze siedziałam, potem za drugim razem jak siedziałam, to tylko z kryminalistkami. Jak wyszłam z więzienia?

Bo była amnestia w 1984 roku, w lipcu, gdzie był proces trzydziestu paru osób. Dostałam dwa listy od Kornela i list od pani Władzi Konstantynowicz, u której Kornel się ukrywał, że mam wrócić do pracy. Na pierwszy list nie zareagowałam, na drugi list nie zareagowałam, ale na trzeci list tej pani, która napisała: „Przecież ty wiesz jak gubić ogony. Masz przyjść, bo my tu cię potrzebujemy”, no to poszłam opłotkami i dalej pracowałam. No i następne listy gończe to już miałam wewnętrzne. Ale też te listy gończe, to już takie były, że tak powiem, już wiedziałam kiedy się koło mnie ta pętla zaciska. W 1986 roku był wewnętrzny, potem się dowiedziałam, że były dwa wewnętrzne. Nie wiem, z materiałów pan Mariusz Sokołowski to wyczytał, że były dwa wewnętrzne listy gończe. Ale nie wiem, wtedy był proces... Zapomniałam teraz nazwisko tej pielęgniarki, z którą byłam związana, przez przypadek w zasadzie. Ale w każdym razie moje nazwisko dla nich już było znane, a w dodatku tam była tylko zawieszka, że do pół roku nie mogę nic robić, bo jak mnie złapią, to będę siedziała. I w 1986 roku złożyłam podanie o urlop bezpłatny. A to się tak stało, że jak przyszedłam do pracy, to już zaczęli mnie obstawiać. To ja wychodziłam albo do drugiego pomieszczenia, do magazynu, albo jakoś tam koleżanki mówiły, że mnie nie ma, że mam dzień opieki nad dzieckiem. Wezwał mnie dyrektor, powiedział: „Pani Haniu, z Panią tylko kłopoty, niech Pani sobie weźmie urlop bezpłatny”. No i ja wzięłam ten urlop bezpłatny. Zresztą Kornel mnie namawiał, żebym zeszła do podziemia, no ale ja nie bardzo miałam ochotę. No, ale z kolei widzę, że znowuż się pętla ta zaciska, więc wzięłam ten urlop bezpłatny i faktycznie w tym dniu, to pamiętam, to był, szkoła się zaczynała, obstawiona szkoła muzyczna mojej córki. Obstawiona szkoła, do której dziecko idzie, no to widzę, że znowuż mnie chyba wezmą i będę siedziała. No Kornel mówi: „Absolutnie schodź do podziemia”. Ja mówię: „No łatwo ci mówić”, znowuż te dzieci same, ale już wtedy miałam znajomości wśród tych działaczy podziemnych. Ten pierwszy list gończy zaowocował tym, że zgłosiła się pani, która się opiekowała moją młodszą córką. Moja starsza córka mówiła, że nikt jej tak nie pomógł jak pani Wanda Chorbaczewska, która zabierała dziecko ze szkoły, karmiła je, odrabiała z nim lekcje i odprowadzała. To była nauczycielka, polecona mi przez układ nauczycielski. Moim synem zajmowała się Zosia Rzymańczyk, która przeze mnie wpadła w 1984 roku, bo miałam jej dowód, bo ona była do mnie podobna. Oczywiście ona mi dała, ale niestety przyszli po nią. Wypierałam się, mówiłam, że znalazłam do końca żeśmy się wypierały. Ani ona mnie nie zna, ani ja jej, ale znajomość zaowocowała tym, nauczycielka z technikum kolejowego. Która opiekowała się moim synem, bo on miał do niej wielkie zaufanie. A pani Grażyna Walczak ze swoim synem zajmowała się Maćkiem, zajmowała się ogólnie moim domem. Tak że w pewnym momencie pomyślałam sobie, że te dzieci mają lepszą opiekę, niż ja bym im zapewniła. Tak może się trochę rozgrzeszałam. No i nieraz mi ta łezka płynęła, jak mnie tam częstowali jakimś jedzeniem. Czy te dzieci mają co jeść? Ale wtedy Kornel mi zawsze mówił: „Ty walczysz o coś ważniejszego, o Polskę”. Ja mówię: „Tobie łatwo mówić. Twoimi dziećmi zajmuje się żona, a u mnie, wiesz jak to z mężem bywa. Jest, ale też go nie ma na stałe”. A w dodatku to mężczyzna, on tak nie przykładął wagi do spraw, że tak powiem, domowych i nie był taki gospodarny. To moja córka Zosia prowadziła to gospodarstwo. Rzeczywiście zajmowała się rodzeństwem. Później jak już te listy gończe się pojawiały, to poprosiłam męża, żeby jednak zabrał syna do siebie. A córkę młodszą, jeden rok była w Szczecinie, u mojej mamy, gdzie szkołę, jedną klasę tam skończyła. Zresztą wiele by mówić. W międzyczasie, też córka do Pierwszej Komunii to przygotowywała się u mojej koleżanki w Zielonej Górze. I to też taka ciekawa historia, bo tu bardzo dużo tych... Pierwszą komunię właściwie mojej młodszej córki Jadwigi, Wigi, dzieci przygotowały w zasadzie przy pomocy moich przyjaciół. Matki chrzestnej, pani Zosi Tulin i jej chrzestnego Janusza Tulina, działacza też Solidarności Walczącej. Oni przygotowali całą uroczystość, a przygotowywała się do I Komunii przez pół roku u mojej koleżanki w Zielonej Górze, bo chciałam oszczędzić babci i starszym osobom tych stresów związanych z moim ukrywaniem.

Nie tylko się ukrywałam przed Służbą Bezpieczeństwa, ale też przed moją rodziną, że mam takie kłopoty. Ona przez jakiś czas była w Zielonej Górze u państwa Kolnych, u mojej przyjaciółki matematyczki, z którą mieszkalam na stacji, dzięki której pracowałam na Politechnice. To taka ciekawa historia, bo pan Jan Kolny, mąż mojej koleżanki, zawsze mówił, że jest agentem, ale tak sobie opowiadał nam, że jest agentem. Okazuje się, że jego żona potwierdziła, że ma dwa paszporty. On się urodził gdzieś na Górnym Śląsku, w terenie dawnych Niemiec. I on pierwszy zaproponował mi komputer, dla celów, jeszcze jak jeździłam na wolności, że tak powiem. Jeszcze bez listu gończego, komputer, na którym będzie nam łatwiej w podziemiu pracować. No i Kornel nawet był skłonny od niego kupić ten komputer, ale ja mówię: „Kornel, mówią o nim, że on jest agent, córka może tam mieszkać, ale słuchaj, a jak oni tam coś wbudowali?” A on mówi: „Może masz rację”. No i pozostaliśmy przy tak zwanym składopisie, a składopis to jest takie pół komputera, taka maszyna do pisania między komputerem, a maszyną do pisania, która zapamiętywała dwie czy trzy strony, miała pamięć jak Kornel pisał na kliszach. Bo szczerze mówiąc, już jak Solidarność Walcząca powstała, to w zasadzie ludzi, którzy uważają się za redakcję, było sporo, ale oni pisali artykuły i przygotowywali jak gdyby takie wstępne makiety, ale charakter ostatni wydania gazety „Solidarność Walcząca”, takim redaktorem ostatecznie był Kornel. Oni nawet nie wiedzieli, że on musiał nauczyć się pisać na kliszach. Najpierw mu pomagała Jerzmańska, później pomagała jej matka, ale ta rodzina była w ogóle bardzo ciekawa, bo do podziemia weszła babcia z wnuczką. Pani Iga ze swoją babcią Martą, a potem weszła cała rodzina.

Artur Kłus: Na tej Komunii córki Pani nie było?

Hanna Łukowska-Karniej: Na Komunii mnie nie było, oczywiście, bo wydawało mi się, że może gdzieś tam na chórze mogłabym być. Ale Kornel powiedział: „No coś ty, no coś ty?” Mówi: „Przecież oni obstawiają ten kościół, przecież jest list gończy za tobą. No gdzie ty?” No i nie poszłam. Ale rzeczywiście krok w krok za nią chodzili, jak zgubiła wianuszek, to podnosili, podawali, legitymowali chrestnych. No i tak to wyglądało, babcie przyjechały i za głowę się brały, co ta matka wyprawia, dziecko śledzą, dom śledzą, a nie wiadomo gdzie ona jest i co z nią jest. A ja się ukrywałam wtedy.

Artur Kłus: Chciałem spytać o to ukrywanie, że tak długo się udało i pani ukrywać, i Kornelowi, że właściwie przez wiele lat, aż do 9 listopada 1987 roku to się udawało?

Hanna Łukowska-Karniej: Tak, to ukrywanie nam się na szczęście udało. Kornel stwierdził, że mieliśmy barierę naszych przyjaciół. Nawet niektórych starali się nawet zwabić, bo im obiecywali i Mercedesy, i pieniądze, bo były takie rozmowy, że ochraniali nas nasi przyjaciele. Nawet nasi przyjaciele, nawet ludzie Rady Solidarności Walczącej nie zdawali sobie sprawy, że ja widuję się tak często z Kornelem. Oni wiedzieli tylko, że ja mam drogę do podania Kornelowi listów. Ale kiedy ludzie wykrużali się, to nowych włączyć, zupełnie nowych, trudno było. W dodatku nie każdy poświęcił, że tak powiem całe swoje życie. Było parę osób, które właściwie nie miały życia, tak jak Kornel przede wszystkim. No ja trochę, bo te dzieci trochę samopas były. Basia Sarapuk, która zeszła do podziemia, ale zeszła do podziemia, a potem, na przykład pod koniec, to zaczęła drukować we własnym mieszkaniu. I uważała, że: „A, niech mnie złapią, niech wiedzą, że ja tu drukuję”. Tej Basi Sarapuk na przykład dałam mieszkanie, to nawiązuje do tego, jak nam się udawało. Miałam mieszkanie, gdzie ludzie wyjeżdżali za granicę, powiedzieli mi, że wyjeż-

dają za granicę. Teraz nie pamiętam ich nazwiska, ale nazywaliśmy ich Picotronicy, bo czasem sobie tak żartowali i tak dalej. To mieszkanie miałam od państwa Paciorkowskich. Oni mi się zwierzyli, że wyjeżdżają za granicę. Ja się bardzo zdziwiłam, że oni wyjeżdżają za granicę. A co z mieszkaniem? A mieszkanie zostawiamy. Jak zostawiacie? Ja mówię, no jak to zostawiacie? No tak, mówi, a może kiedyś wrócimy. A ja mówię: „Słuchajcie, dam wam 100 dolarów. Zostawcie mi to mieszkanie i klucze?” Taki mój pomysł. Miałam akurat 100 dolarów, gdzieś tam miałam dać, nie pamiętam komu. Czy Zosi na wydawnictwa. Wam się przydadzą. Oczywiście klucze dostałam. Okazuje się, że oni mieli jakąś rodzinę gdzieś ze Służby Bezpieczeństwa, którzy chcieli przejść to mieszkanie. Nie wiem, oni mi tego nie powiedzieli, ale uważali, że może ja z tego mieszkania trochę skorzystam. No bo jak to wyglądało, ja będąc w tym podziemiu dużo rzeczy się dowiedziałam o funkcjonowaniu właśnie tych naszych służb. Oni zawsze jak mieli kogoś na oku, kto wyjeżdżał gdzieś, to jedna z naszych koleżanek, którą nazywałyśmy Koala, opowiadała mi historię, zaraz wrócę do tego poprzedniego wątku. Powiedzieli, że jej dadzą na wyjazd do siostry, ale ona ma im zostawić klucze, bo oni z tego mieszkania będą obserwować tam jakąś bandę itd. Też nas ludzie ostrzegali, też przez przypadek. Dlatego, że miałam dobre układy z ludźmi, ktoś do mnie przyszedł. „Pewnie Haniu wiesz, komu to przekazać, że ktoś, gdzieś, przyszły służby jakieś i mówią, że chcą z tego mieszkania podglądać drugie mieszkanie, bo gdzieś tutaj pilnują jakiegoś kryminalistę”. Ale ona się połapała, powiedziała sąsiadce i sąsiadka puściła to przez akurat moich znajomych z Instytutu. Dowiedziałam się, od razu poprosiłam o adres, oczywiście chodziło to o jakiś nasz adres, z nami związany, właśnie z panem Klementowskim, to był adres. No i takie rzeczy się zdarzały, a to mieszkanie, nomen omen na Inowrocławskiej, zresztą miałam jeszcze tam parę mieszkań, to pomyślałam sobie, no bardzo dobrze, będzie takie na przewietrzenie Kornela, ale nie zdawałam sobie sprawy, ale co weszłam do tego mieszkania, chciałam zrobić spotkanie, to coś mi się nie podobało. Nie wiem, coś mi się zawsze nie podobało, już nie wiem co. I w rezultacie mówię do Basi Sarapuk, właśnie tej pani, która miała te drukarnie, która była królową druku, tak żeśmy ją nazywali, która miała bardzo dużo tych małych drukarni i szkoliła. Ja mówię: „Basiu, ja mam mieszkanie, ale ja z tego mieszkania nie skorzystam. Nie wiem, czy na druk się nadaje, mogą cię nakryć. Ludzie wyjechali za granicę. Chcesz?” „Hanka chcę, przecież nie ma mieszkań”. No bo wiadomo, czym dalej w las, tym było mniej mieszkań. Teraz wszyscy mówią, że działali, ale nie działali. Mieszkań na drukarnie, mieszkań na mieszkanie to nie było. Dobrze jak wzięli 10 ulotek, albo 20, rozłożyli gdzieś gdzie pracowali. Naprawdę, to przesadzają. Mało było tych kolporterów. Po prostu zacieśniało się to wszystko. I Basia tam zaczęła w tym mieszkaniu drukować, ale działały się tam przeróżne rzeczy, bo nie wiem czy jakiś ubek czy nie ubek, pokazywał, że tam wchodzi, bo jakieś podcięte kwiatki były, ona trzymała tam jakieś zwierzątko, które reagowało jak ona przychodziła, a potem było wystraszone, jakieś gaszenie światła w trakcie jak ona była, miała jakieś znaki, ale ona dalej drukowała. Po prostu się tym nie przejmowała. Tutaj mnie pytacie Panowie, jak to było z tym ukrywaniem. Ona już po bandzie jechała. Przyjdą, zabiorą, dalej będzie drukowała. Ukrywała się. Też ludzie na Akademii Ekonomicznej też ukrywali ją, jak ona nie pracowała. Nawet ten czerwony dyrektor jak wrócił po wyroku, przyjął ją z powrotem. Przyjmowali nas z powrotem do pracy.

– Ale to mieszkanie w końcu tych osób

Artur Kłus: Jak się zakończyła ta historia z mieszkaniem?

Hanna Łukowska-Karniej: Co się stało z tym mieszkaniem? No, a wreszcie jak Metz już został porwany i też już było z nim jak gdyby też było wiadomo co on znaczy dla, a nie miał mieszkania, to on dostał te klucze. I ci państwo,

którzy byli za granicą właśnie już z nim korespondowali, a on im wysyłał książki, ich rzeczy przesyłał i w rezultacie ta moja decyzja taka spontaniczna, zaowocowała tym, że on miał gdzie mieszkać we Wrocławiu. Więc takie nie-które były mieszkania, ale to nie było mieszkanie dla Kornela. Nie zrobiłam tam ani spotkania, bo coś mi tam nie leżało. Już nie pamiętam co, coś mi się tam nie podobało. A mieszkanie duże, dwupokojowe, przestronne, kuchnia. Kornel, jak na początku powiedziałam, nigdy nie chciał mieszkać sam. Uważał, że przy rodzinie najbezpieczniej. Były to mieszkania przeróżne. Mieszkał czasem z chłopaczkiem w siedmiometrowym pokoiku. Spał na ziemi, pamiętam, chcieli, żeby ten chłopiec spał, Kornel nie pozwolił. W różnych, że tak powiem był sytuacjach i w zasadzie wracał do mieszkań, które już wcześniej się przewietrzyły, i które nie wpadły.